



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

O pielęgnowaniu chrześcijańskiej społeczności / napisał K. Kulisz.

Liczba stron oryginału

24

Liczba plików skanów

24

Liczba plików publikacji

25

Sygatura/numer zespołu

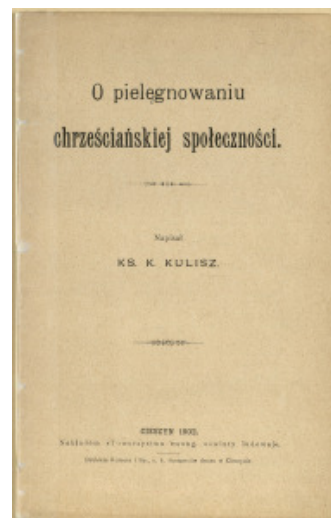
C I 003888

Data wydania oryginału

1902

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



Fundusze Europejskie
Program Regionalny

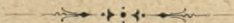


Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego

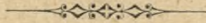


O pielęgnowaniu chrześcijańskiej społeczności.



Napisał

KS. K. KULISZ.



CIESZYN 1902.

Nakładem »Towarzystwa ewang. oświaty ludowej«.

Drukiem Kutzera i Sp., c. k. dostawców dworu w Cieszynie.

E2

25:2845L

C.0038881





Kochani domownicy wiary!*)

Wydział naszego „Ewangelickiego Towarzystwa oświaty ludowej”, polecając mi na ostatniem swoim posiedzeniu wypowiedzenie odczytu na dzisiejszem Walnem zgromadzeniu, odmówił mi wszelkiej wskazówki co do wyboru tematu. A miałem z tym wyborem niejaki kłopot. O ile miłem mi jest to zgromadzenie nasze, o tyle pragnąłem dobrać co najodpowiedniejszego. Nie braknie tematów, ale ich wybór jest trudny. Nęciła mnie bardzo myśl o konfirmacyi, o tym tak znanym, a tak niedostatecznie pojętym obrządku kościelnym. Miłem byłoby nam coś ojczystego, z dziejów naszych zaczerpniętego. Na czasie byłby odczyt o ruchu ewangelicznym w dzisiejszym świecie katolickim, we Francyi, Austrii, Włoszech, nawet Hiszpanii i Rosyi. Mimo to wybrałem coś, o czem byście może na ostatku pomyśleli, co się wielu podobno nie będzie podobało, z czego niejedni niejedno będą zwalczali.

Ale kto nie wywoła zaprzeczenia, ten nie poruszył nie żywotnego, i lubo o moim temacie nie każdy myśli i takowy nie każdego zajmuje, to przecież nie jest ostatnim i nie najmniejszej wagi. Będę mówił „O pielęgnowaniu chrześcijańskiej społeczności”. Brak tego pielęgnowania jest uderzającym, brak ten

*) Rzeczę tę czytał autor na Walnem zgromadzeniu „Ewangelickiego Tow. ośw. ludowej” a szło mu nie tyle o teoretyczne wyczerpanie tematu, ile raczej o zastanowienie jego do obecnego stanu naszego życia religijnego i kościelnego.

w postępie społecznym, do jakiego nieustannie zdążamy, będzie coraz nienaturalniejszy, dotkliwszy, niebezpieczniejszy.

1.

Dziewiętnaste stulecie umarło. Niegdyś kwitnące, jak młodziemiec rozrastający się, silne i pracujące jak dzielny mąż olbrzymiej siły, bogate w wielkie myśli i wielkie historyczne wydarzenia, życiem kipiące — dziś leży przed nami martwe, wyprostowane, zimne. Zbrali się wszyscy, co tylko po zmarłym spodziewać się mogą jakiego spadku i ci, którym ono pozostało dłużnikiem. Wyglądają otwarcia testamentu, jedni z niespokojnem oczekiwaniem, drudzy pełni pewności zwycięstwa. Tworzą się gromadki i szepczą z sobą: Czy to prawda, czy słyszeliście, że ruch społeczny, tak zwany socyalny, został w testamencie mianowany uniwersalnym spadkobiercą?! — Przypuszczają ogólnie, że ten ruch społeczny czyli socyalny wysunie się w nowem stuleciu na pierwsze miejsce dziejów społecznych. Przypuszczenia wprowadzie nic nie kosztują — jednak to pewna, że zeszłe stulecie pozostawiło po sobie niezapłacone rachunki, które obecne stulecie spłacić będzie musiało. Ubiegłe stulecie nakreśliło linie kierunku, których szlakiem pójdzie dalszy rozwój. A do tych niezapłaconych rachunków, do tych obowiązków przekazanych przez zeszłe stulecie wiekowi nowemu, należy w pierwszym rzędzie praca, która szary ogół wysuwa na pierwsze miejsce życia społecznego. Dawniejsze dzieje świata, to dzieje panujących i stanów uprzywilejowanych, ale w przyszłości tłumy o tyle dojrzeją i duchowo się wzmogą, że ich potrzeby, wola i słowo ciężko zaważą i dobitnie się zaznacza w historyi. Praca nad tymi tłumami i dla nich — to będzie jedno z przednich haseł, programów najbliższej przyszłości.

Jeżeli jesteśmy chrześcianami, którzy pobożność znają jako rzeczywistą siłę życia — a nie jako niepotrzebną babcię, która zwykle w ostatnim kątku schowana siedzi, i tylko w niedzielę jej przysiąść pozwalają przez pół godziny na pierwszym miejscu u stołu — jeżeli nam ewangelia Chrystusowa istotnie jest drogą i niechcilibyśmy bez niej żyć w przyszłości, to musimy sobie postawić pytanie, która część niezapłaconego długu zeszłego stulecia na nas przypada, i co w tym przyszłym rozwoju społecznym naszą ma być sprawą.

W rozwoju społecznym kościół ma pracę socjalno-polityczną i misyjną. Z tej drugiej, z pracy misji domowej, z wewnętrznego religijnego życia kościelnego wzięliśmy nasz temat. Pozatem jednak wiemy dobrze, że niezbędna jest i owa praca, która rozwiązuje zadania socjalno-polityczne. Bo jeżeli kto nie czuje powołania do polityki, ten dla tego zdaniem naszym, nie powinien się na politykę obruszać. Losy nas wszystkich zawisły od polityki, niemniej losy kościoła. Bo kościół, to nie ruina na ustroniu dla nietoperzy, lecz społeczność ludu, którego losami polityka chce kierować. Trzeba więc ludzi, którzyby politykę mądrze i po chrześcijańsku kierowali. Wskazując na dotkliwy brak rzeczy tak ważnej i zasadniczej, jaką jest pielegnowanie społeczności chrześcijańskiej, nie chcemy na inne pułki wojsk naszych, o ile tylko i one są Chrystusowe, strzelać, lecz chcemy ten pułk, o który nam chodzi, budzić i zbroić. Wszak infanterya musi mieć wyrozumienie dla kawaleryi, a obie dla artyleryi i odwrotnie. Czy nie leży w ich interesie, aby się wzajemnie uzupełniały, pomagały sobie, zamiast się zwalczać? Kto chce schody zamiatać, ten musi zacząć u góry, ale kto je chce budować, musi zacząć u samego dołu. Pracować nam przystoi, nie sądzić.

Pan nasz Jezus Chrystus powiedział u Mt. rozdz.

18., w. 20.: „Gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w imieniu mojem, tam jestem w pośrodku nich!” Tej społeczności Chrystusowej między dwoma albo trzema nie pielęgnujemy. Ponieważ mamy wielkie, olbrzymie zgromadzenia, zdaje się nam, że brak onych dwu lub trzech rozumie się sam przez się. Zapoznajemy prawdę, że kurzeniem wielkich religijnych społeczności powinno być z natury rzeczy owe społeczności dwu lub trzech. Zapominamy, że naszym tłumnym nabożeństwom kościelnym brak tak często tchnienia ożywiającego podobno dlatego, iż one nie wyrastają z onych społeczności mniejszych. Chrystus Pan nie tylko przypadkiem mówi: dwu lub trzech, lecz umyślnie, ze znajomości rzeczy. Brak tej społeczności sprzeciwia się naturze chrystyanizmu i może się boleśnie zemścić. Ta społeczność dwu lub trzech jest owym pułkiem, który zdala od natarczywej, ciężkiej walki idzie cicho za innymi pułkami, kuje dla nich oręż, gotuje naboje, przyjmuje w opiekę rannych. Do tego pułku cichych uciekać się winni ci, co na przodzie w rozpaczliwych zapasach słabną, a tu nabraćby mogli nowych sił. Potęgą modłtwy, ciche skupianie myśli, wychowywanie pewnych wiernych charakterów — to byłaby praca tych kółek chrześcijańskich, które mamy na myśli — praca, która nie tak łatwo czem innem da się zastąpić.

Takiej pracy podobno im dalej tem więcej będzie nam potrzeba. Stoimy w pośród odrodzenia naszego narodowego i społecznego. Umysły wokoło się budzą, rozkoszą jest żyć dla każdego, co nie chce raczej być bezczynną płaczką. Ale takie czasy bywają niebezpieczne, wprost zgubne dla tych, co śpią i są niezaradni. Do ostatniej chatki górskiej dociera oświata, duch nowoczesny z wszystkimi swymi objawami przesiąka wszędzie jak woda przez pokłady ziemskie. Gdyśmy my się uczyli

w szkołach niemieckich, wieśniacy rodzice nasi patrzeli na naszą naukę, na nasze książki, jak na zamknięte drzwi. Te drzwi im się otworzą, gdy dzieci pójdą do szkół polskich. Ojciec będzie mógł z synem swoim pomówić o jego nauce. Lud dziś bądź co bądź poczyną czytać, przed samą sienią jego domu odbywają się zgromadzenia polityczne, socyalne, w chacie na odległym ustroniu spotkasz broszury nowoczesne pewniej niż słowika. Tak! stare się wali, czasy się zmieniają, a z gruzów nowe wyrasta życie.

I pobożność i wiara musi przyjąć w pewnym stopniu nowoczesne kształty, jeżeli nie chce być zepchniętą z posterunku, który jej się należy. Proszę mnie dobrze zrozumieć: Przedmiot naszej wiary, to, w co wierzymy: Bóg, Jezus Chrystus, cała prawda zbawienia pozostają na wieki niewzruszone, ale sposób, jakim my do wiary przychodzimy i wiarę zachowujemy, zmienia się, jak człowiek sam się zmienia. „Pókim był dziecięciem, mówiłem jako dziecię, rozumiałem jako dziecię, rozmyślałem jako dziecię, lecz gdym się stał mężem, zaniechałem rzeczy dziecinnych.” I. Kor. 13, 11. Tylko to, co jest Boskie, nie podlegnie żadnej zmianie, co jest ludzkie, zmienia się z czasami. Już dzisiejsze młode pokolenie, szczególnie młodzież socyalistyczna, nie może przyjść do wiary i nie może jej zostać wierną na tej samej drodze, jak wy starsi przeważnieście uwierzyli i wierzyście. Starsze pokolenie wyrosło w cieniu kościoła, w wierze dziecięcej, jak pod chmurą zasłaniającą i użyźniającą jego życie. Wyście może ani przez jedną chwilę w życiu waszem nie wątpili o Boga miłującym was. Dla was „wierzyć” jest czemś naturalnem, samo przez się się rozumiejącem; zdziwionem, przestraszonym okiem patrzycie na niedowiarka. Tak w młodszych pokoleniach nie jest i nie będzie. One się w takiej błogosławionej prostocie nie rozwijają. One po części od samej mło-



dości rósć będą w wątpliwościach i bez kościoła. One się naśmiewców nie lękają, ale przesiadują z nimi. Uwierzyć — to dla nich znaczy spełnić czyn największy, najważniejszy w życiu.

Dla was pobożność znaczyła: słuchać kazania i znowu kazania, rozmyślać o niem, i czytać modlitwy, przy czem zwykle brak było energicznego urzeczywistnienia słów słyszanych. Dla nas pobożność znaczy: Ratuń się człowiecze, wróć do Boga, rozpocznij życie nowe! U was na pierwszym miejscu stała myśl, że śmierć Chrystusa zbawia nas od naszej śmierci. U nas na pierwszym miejscu staje doświadczenie, że śmierć Chrystusowa zbawia nas nie tylko od śmierci, ale i od życia, t. j. od życia według dawnego obcowania. 1. Piotra 1. 18. U was pokuta — to jest samo przez się rozumiejące się wyznawanie codziennych grzechów. My też taką pokutę znamy, lecz jeszcze i inną, t. j. jednorazowy sąd bolesny, którego Bóg dokonał w życiu naszym — od tej chwili przełomowej aże do krwi sprzeciwić się musi człowiek każdemu poznawanemu grzechowi. Do pobożności onego pierwszego rodzaju zastosować można Chrystusowe podobieństwo: „Takie jest królestwo niebieskie, jako gdyby człowiek wrzucił nasienie w ziemię a spałby i wstawałby we dnie i w nocy a nasienie weszło i urosło, gdy on nie wie” — a z nasieniem rośnie i kłakol. Do nowoczesnego pokolenia lepiej stosuje się podobieństwo o człowieku, który szukał drogich pereł, a dowiedziawszy się o jednej najdroższej, szedł i sprzedał wszystko, co miał, i kupił onę perłę.

Tego rodzaju wiara to nie marzycielstwo, to nie fantastyczność, czy jakaś niezdrowa uczuciowość; ale to jest ciężkie, twarde, a mimo to błogie posłuszeństwo przeciwko Bogu. Ta pobożność nas drogo kosztuje, bo zmusza nas do zerwania z niejedną rzeczą, z którą się serce zrosło. Ta pobożność zniewala nas do trzeźwej, świa-

domiej pracy. Takie przeważnie kształty życie chrześcijańskie w przyszłych pokoleniach przybrać będzie musiało. Że się w tem zdaniu nie mylimy, mamy na to dowody. Trzeba tylko porównać kazania Grzegorza z Żarnowca lub z Dąbrówki z kazaniami n. p. ks. Dra Otto. Dąbrówkę po domach starsi z ulubieniem czytają, ale niech się kto kazania z niej nauczy na pamięć i wypowie je na ambonie: Nie zrobi wrażenia na współczesnych słuchaczach! Kolega ze zboru w wielkiej części robotniczego, który dawniej u obcych tęsknił za słuchaczami śląskimi, mówił mi, że się pomylił, myśląc, że lud ten wdzięcznie będzie słuchał choćby i dłuższych rozpraw homilijnych o ustępach biblijnych. Ten sposób mówienia nie odpowiada nowoczesnym. Temu pokoleniu trzeba nie rozwlekłych i chłodnych rozpraw o ewangelii i o Chrystusie ale trzeba samego Chrystusa i samej ewangelii w całej sile i trzeba stanowczego wołania: Pokutujcie! nawróćcie się!*) Wobec nowoczesnych prądów, które u nas coraz to więcej nurtują i będą nurtować, nic też nie pomoże, gdy powiemy: Tego się nie tykać, to jest prawda, bo tak mówi ksiądz, tak kościół uczy, tak jest w biblii! Oni wam powiedzą: A inaczej uczą inni, inaczej twierdzą n. p. socjaliści! Im tylko jeden dowód zaimponuje: Jeżeli prawda wiary będzie w wierzących widoczną, jeżeli będzie praktyczną potęgą, jeżeli się zrealizuje w rzeczywistości. Im tylko to jest prawda, co jest pożyteczne, co pociąga, odpycha i przemienia. Przy rozwoju demokracji inaczej być nie może. Bo masy nigdy nie mogą siedzieć w bibliotekach

*) Dowodem niezbitym słuszności tego zapatrywania jest ogromny rozwój metodyzmu, sekty ewang., która z pewną jednostronnością tę stronę prawdy ewangelicznej podnosi i rozwija, a która liczebnie tak rośnie i tak obfite a wspaniałe owoce wiary przynosi, że powinna by nas pobudzić do zazdrości. Słynny Spurgeon od metodystów miał swój sposób mówienia.

i suszyć sobie głowy nad niewidzialnymi teoryami i abstrakcyami. A czy w takich prądach wiara, religijność musi tracić? Wiara ma wszystkie dane w sobie, aby w takich warunkach żyć i rosnąć. Wiara nie żyje z rozumowania, ani z uczuciowości, ale nieugiętą wolą, czynami, dowodami realnego życia. Wiara i pobożność w nowoczesnem życiu będzie przeważnie owocem nie pobożnego wychowania, jak n. p. u ap. Jana, ale bardzo często świadomego nawrócenia się do Boga, jak u apost. Pawła. Wskutek tego też pobożność będzie nie tylko spokojnem rozmyślaniem, ale raczej ożywionem działaniem na polu i w formach społecznego nowoczesnego życia. Religijnym jest nam ten, kto wolę swoją złączył z wolą Bożą, objawioną nam w Chrystusie. Praktyczno-socyalna strona wiary wybija się dziś na pierwsze miejsce.

2.

Z pełnych dziś kościołów, które świadczą o duchowych potrzebach ludu naszego, cieszymy się, ale nas te tłumy omamić ani uspokoić nie mogą; owszem one nam są żywą przestrogą, że właśnie teraz jeszcze dużo możemy uczynić, i spać nam nie dadzą. Głosy z otchłani: „Jedźmy i pijmy, bo jutro pomrzemy!” — wyraźnie coraz liczniej, coraz potężniej dadzą się słyszeć. A nie łudzimy się, że tradycyjna pobożność ludu naszego zdoła się im oprzeć. Nie możemy sobie odmówić wymienienia dwóch w tej materii znakomicie pouczających książek. Jedna z nich zatytułowana: „Światłość wieczna”, wyszła z pod pióra znakomitego powieściopisarza Piotra Rosegger’a a jest tej treści: Wierny duszpasterz stara się gorliwie w swojej zapadłej, górami od świata zamkniętej wsi rozbudzić życie religijne. Naraz atoli w tychże górach odkryto bogate kopalnie, a przemysł

zalał zbór naszego księdza. Prorocy światowych rozkoszy i przewrotu przekrzyczeli głos wiernego sługi Bożego. W najkrótszym czasie zniweczono pracę jego, a on umiera, bo mu serce z bólu pękło. W drugiej książce podaje ks. Gebhardt obrazki wiary i obyczajów chłopów. Ks. Gebhardt, który przez 40 lat był pastorem między wieśniakami w Turyngii, stwierdza, że stara pobożność i kościelność wieśniaków tamtejszych zniknęła, runęła pod natarciwym napływem nowoczesnego ducha. Ks. Gebhardt dochodzi do wniosku, że tradycyjna kościelność i pobożność może się zachować jedynie w oddaleniu od świata, w miejscowościach ustronnych, dla których świat nie istnieje. Ludzie tacy są pobożnymi, bo nie mają przyczyny, aby nimi nie byli, ale gdy się ta ich wiara ulotni, wrócić ona może jedynie przez świadome i stanowcze nawrócenie; a to nie jest stratą, lecz owszem zyskiem. Stosunki nasze z każdym dniem stawają się podobniejsze do stosunków w powyższych książkach opisanych, Mamy między socjalnymi demokratami ludzi, co byli niegdyś bardzo kościelni, a dziś są ateuszami i materyalistami. Czy można o nich powiedzieć, że odpadli od wiary? Nie! Oni prawdziwej wiary podobno nigdy nie mieli, oni się tylko łudzili, że są chrześcianami, i to złudzenie pierzchnęło. Można do nich zastosować słowo pisma św.: „Z nas wyszli, ale nie byli z nas; albowiem gdyby byli z nas, zostaliby byli z nami; ale wyszli z nas, aby objawieni byli, iż wszyscy nie byli z nas.” 1. Jana, rozdz. 2., w. 19.

Siła tkwiąca w naszej tradycyjnej, kościelnej religijności, to siła w najlepszym razie zachowawcza, rzadko twórcza i rozwijająca się, siła tego samego rodzaju, mocą której ciężki, wielki kamień trudno ruszyć z miejsca, nie zaś siła, która orła podnosi w górę. Ta siła, której piętno i nasze kazania często na sobie noszą — to nie

okręt, który pełnemi żaglami wesoło zdąża do wytkniętego celu, ale to statek stojący na miejscu z obawy, aby w mgle to nie osiadł na mieliźnie, to nie potracił o skałę. Powołujemy się za wiele na ojców naszych, a za mało postępujemy naprzód. Liczebna wielkość naszych zborów przemienia społeczność Chrystusową na fabryki kościelne. Dać się ochrzcić, dać się nauczyć katechizmu, dać się konfirmować, wziąć ślub w kościele i swych zmarłych grzebać z towarzyszeniem księdza — niechęć powiedzieć, żeśmy już tak daleko doszli, że to jest całe nasze chrześcijaństwo, ale chcę powiedzieć, że bez tchnienia Pańskiego ożywiającego, suche kości, choćby ich było bardzo wiele, niezdolne będą oprzeć się duchowi nowoczesnemu, niezdolne żyć i spełnić swego nowoczesnego zadania.

Kto zaś ze snu duchownego się ocuci, tego wiara ma potrzeby, których tradycyjna, oziębła pobożność często nie zna wcale. Takiemu przykro się daje odczuć szczególnie jedna okoliczność: że to u nas rzeczą tak niezwykłą, żeby kilku, co się rozumieją, łączyło się w społeczność w najświętszych sprawach duszy. Taka społeczność nawet z duszpasterzem jest u nas dość niezwykłym wyjątkiem. Takiej prostej społeczności, rozmowy w szczerych, nieoklepanych słowach każdemu przecieby trzeba, zaś serca ożywione przez nawrócenie czują w sobie nieprzepartą, głęboką potrzebę pielęgnowania takiej społeczności z tymi, co są tegoż samego ducha, co ich rozumieją. Same tłumne nabożeństwa kościelne tej potrzeby zaspokoić niemogą tak samo, jak cały kompleks kościoła nie może być owem maluczkim stadkiem, o którym Chrystus Pan mówił. Im więcej nabożeństwami naszymi owładnie fatalna nienaturalność i monotonna, przez długi nieraz szereg lat żadną zmianą nieożywiona jednostajność, tem mniej mogą one obudzić

spiących, zaspokoić pragnących.*) Pozbyć się zaś całej sprawy słowem: To są pragnienia pietystyczne! — to jest sposób bardzo arystokratyczny i równie wygodny, jak nędzny. Różny wprawdzie bywa pietyzm. Ale smutne to robi wrażenie, jeżeli pietyzmem lub też faryzeizmem nazywają każdy śmielszy objaw prawdziwego życia duchownego ci, co nie mogą o potrzebach i pragnieniach duchownych mówić, nie mając o nich żadnego wyobrażenia. Pielęgnowanie społeczności jest właściwszym pierwotnym objawem życia chrześcijańskiego. Ale popęd ten znajduje się często w położeniu onej gołębiczy Noego, która nie znalazła miejsca, gdzieby postawiła nogę swoją.

*) Wszak chyba nie można nie widzieć, że nasze nabożeństwa kościelne bodaj czy nie więcej usypiają niżeli rozbudzają, tem bardziej, gdy kazania wygłaszane bywają tonem nienaturalnym. Kaznodzieja może być człowiekiem zdolnym i pilnym, ale jeżeli przez 20 i więcej lat stawa na jednej i tej samej ambonie przed tymi samymi słuchaczami, jeżeli ni biblijnymi wykładami, ni właściwem duszpasterstwem lub w inny sposób nie popiera i nie ożywia swoich kazań, jeżeli nadto rzadko kiedy kto inny na jego ambonie stanie, to kazania jego, choćby dobre, muszą spowszednieć, stępieć i stracić swoją siłę. Gdzieindziej wypowiedziane, zrobiłoby takie kazanie swoje wrażenie, tu w domu przejdzie bez śladu. Każdy człowiek bowiem ma tylko pewien zasób pojęć, wyrażeń, ma swój sposób mówienia i swoje utarte koleje. Jakiż dopiero zastój duchownego życia, jakąż stęchlizna duchowa musi powstać w zborze, jeżeli jego pastor, służący mu przez długi szereg lat, z różnych przyczyn zewnętrznych i wewnętrznych nie może oddać się swojemu zadaniu cały, nie może wciąż postępować naprzód i odświeżać sił swoich, lub jeżeli — co najgorsza — w słowie Bożem i w modlitwie wcale nie żyje. Z takich powodów istnieje już w wielu krajach obok zwykłego pastora urządził t. zw. kaznodziei wędrownych; z tych powodów powinno się każdemu pastrowi umożliwić od czasu do czasu odbycie stosownej dla niego podróży; z tych powodów zbory metodystów i inni zamieniają co 6—10 lat swoich duszpasterzy; stąd też w kościele katolickim powstały t. zw. misye. Po każdej takiej misyi, po każdej zmianie, po każdym pobycie kaznodziei wędrownego bez niczyjej szkody żywsze zatętni w zborze życie.

Do pielęgnowania społeczności chrześcijańskiej brak sposobności, jeszcze większy brak taktu, również odwagi. Ścisła społeczność chrześcijańska jest u nas rzeczą nie tylko zapomnianą i zapoznaną, ale nawet okrzyczaną, i przez to sprowadzoną na bezdroża niezdrowe, nieraz śmieszne, a przecież zrozumiana i pielęgnowana mogłaby przynieść kościołowi i społeczeństwu najpiękniejsze i najpożyteczniejsze owoce. Znany Dr. Bengel, chlubnej sławy teolog, powiedział przy pewnej sposobności: „Nie pojmuję, co można mieć przeciwko prywatnym zgromadzeniom religijnym. Dlaczegożby każdy pobożny miał żyć tylko sam dla siebie? Wszak to zupełnie tak, jak gdyby kilku ludzi szło tą samą drogą polem, a chciałby im kto zakazać, żeby nieszli razem, ale jeden od drugiego w oddaleniu wystrzął.” A w naszych dniach bardzo trzeźwo patrzący prof. teol. Kübel pisze w swojej etyce: Co pobożnych dziś znowu zgromadza tak licznie w ściślejsze, osobne społeczności, nie jest niczem innym, tylko przyrodzoną naszym czasom wielką skłonnością do socjalizmu. U pobożnych jest to skłonność do nowego człowieka w Chrystusie. Objawy tej skłonności tłumiono już i u nas na Śląsku rzekomo z obawy przed sekciarstwem. Nie da się ona stłumić, tak jak gdzie indziej mimo większych wysiłków jej niestłumiono, ale w końcu lepiej się namyśliwszy, wyzyskano siły te, sprawiono im właściwy odpływ w praktycznem działaniu w zborze pod przewodnictwem księży. O tem jeszcze później. Tu zaś wspomnieć należy, że potrzeba ściślejszej społeczności w Chrystusie wprawdzie niezawsze z jednakową objawiała się siłą, ale jest jednak objawem życia chrześcijańskiego tak starym, jak samo chrześcijaństwo, ba nawet jak religia wogóle.

Jezus Chrystus sam żył w ściślejszem kole dwunastu, nie powiadał tłumom tylko kazań, by potem być

sam dla Siebie. Zbory pierwszych chrześcian, o których napisano w Dziej. Ap. rozdz. 4., w. 42., że „trwali w nauce Apostołów i w społeczności i w łamaniu chleba i w modlitwach,” były taką ścisłą, szczerą braterską społecznością. Rzymianom nie dobrze się robiło, trwoga ich zdejmowała i zimne dreszcze ich przechodziły, gdy widzieli, jak chrześcianie, ludzie nienależący do siebie, często ni pochodzeniem, ni powołaniem, ni inną znajomością, nawzajem doskonale się rozumieli, miłowali, za siebie na każdy wypadek ręczyli. Rzymianie myśleli, że to jakiś straszny spisek, tajne przysiężenie. Nie ona wiara, którą każdy chrześcianin miał dla siebie w swem sercu, wychowała męczenników, ale w społecznych schadzkach jak ze źródła czerpali siłę do ciężkiego nad miarę życia, do owego cichego nadludzkiego zapasu z tem, co dawniej ich serce miłowało, do niebezpiecznego świadectwa o Chrystusie, do śmierci na smolnym słupie, lub na arenie wśród dzikich bestyi. W wiekach średnich, szczególnie pod ich koniec, gdy kościół zeświatowiał, spotykamy Waldensów, Braci Społecznego Pożycia i tak zwanych Przyjaciół Bożych, dążących do takiej samej społeczności. A zakony mnisz w kościele katolickim, czy one są czem innem, jak wypaczoną wprawdzie i nieudalą, ale zawsze próbą urzeczywistnienia tej nieodzownej chrześcijańskiej potrzeby? Lutra chyba nikt o niezdrowy petyzm nie posądzi, a jemu takie ściślejsze społeczności w samym łonie kościoła przyswiecały jako przyszły ideał. W przedmowie do jednej z najgłówniejszych reformatorskich swoich rozpraw („Die deutsche Messe”) powiedział: „Ci, coby z całą stanowczością chcieli być chrześcianami i wyznawać ewangelią czynem i słowem, musieliby się imiennie zapisać i w jakim domu zbierać ku modlitwie, czytaniu” — Luter powiada nawet: „Ku obchodzeniu chrztu i wieczerzy świętej” (o czem nikt z nas nie myśli) „i ku ćwiczeniu się w chrze-

ściaństwie. Jakby się ta rzecz zresztą ukształtowała," — pisze Luter — „toby się prędko samo pokazało, gdyby się tylko znaleźli odpowiedni do tego ludzie. Przyczyniłbym się chętnie do takiego dzieła" — powiada — „gdyby do niego przyszło!" Ale umyślnie rozpoczynać to dzieło waha się, mówiąc: „Bo my Niemcy jesteśmy wściekłym, surowym, hałaśliwym narodem, z którym niełatwo co zacząć!" Jan Łaski, jeden z największych polskich reformatorów, najpiękniejsze chwile życia spędził wśród takich społeczności w Holandyi. Kiedy później kościół reformacyi skostniał w scholastycznym ortodoksyzmie, Spener i Francke, drugorzędni reformatorowie, ożywili go swojemi „collegia pietatis", t. j. takimiż kółkami pobożnych. W czasach racjonalizmu przeważnie takie ścisłe, osobne społeczności, skrycie po pobożnych domach pielęgnowane, przechowały wśród ogólnej posuchy duchowej w kościele żyzną zielen chrześcijańskiego, religijnego uczucia i życia. A takie społeczności, w związku z innemi czynnikami, za wolą Bożą zabezpieczą także w przyszłości kościołowi byt, gdyby księżę tego świata uszykował swoje zastępy do ogólnego, zaciętego szturm przeciwko niemu.*) Kształt kościoła się zmienia, królestwo Boże trwa na wieki. Z taką przyszłością dziś się już poważne głosy liczą n. p. w Niemczech. W tych kołach ściślejszej społeczności, które kościół sam i słudzy jego z wielką korzyścią dla zborów prawie w wszystkich krajach ewangelickich poczęli wychowywać i pielęgnować, spodziewają się znaleźć porękę lepszej przyszłości i piasunów wiary wśród wzmagającego się praktycznego materializmu i niewiary. Te społeczności są tam już dziś potęgą kościoła i ojczyzny, a ich gwiazdą przewodnią

*) Szatan pracuje, nie tylko krzewiąc jawne niedowiarstwo, ale daleko więcej jeszcze, doprowadzając do religijnego zubożenia, zubożenia, wyschnienia i do zmaterializowania.

są: Społeczność Braci Czeskich i Społeczność herrenhucka, stworzona przez hr. Zinzendorfa.

3.

U nas — czy czegoś podobnego zachodzi potrzeba? Już to w naturze ducha uzasadnione, że każde rozbudzone w sercu, a niemniej religijne życie rozwija się towarzysko, szuka społeczności. I Bóg sam podobno na to stworzył człowieka, by miał z nim społeczność. Tą społecznością zaś pierwsze lepsze towarzystwo być nie może. Jest różnica między społecznością a społecznością. Mogą dwaj żyć obok siebie lata, a nigdy oko w oko nie utonie, nigdy się nie spotkają ich dusze. W zwykłych towarzystwach często każdy udaje uszczęśliwionego, a zasłania nieufnie głębi duszy swojej i odetchnie swobodniej, będąc znów sam. Może niewielu jest takich ludzi, którzy skosztowali społeczności i wiedzą, co to jest. Religia chrześcijańska zaś jest w swoim korzeniu i swoim jądrze społecznością. Musi coś być zdrowego i niezdrowego w chrystyanizmie człowieka, który życia swego serca nie stara się udzielić innym. Przyjaźń tych, co w Chrystusie są zjednoczeni, jest największą słodyczą życia, jest przedsionkiem nieba. A jest rzeczą wprost niemożliwą, żeby kilka takich serc poznawszy się, nie miały się schadzać, radzić, modlić.

Istnieją u nas związki, którym nie można dać nazwy ani wstrzemięźliwości, ani młódzieży, którym brak przewodników, brak świadomego celu i drogi, brak nieraz trzeźwości duchowej i rozwagi, brak poparcia i uznania, brak napozór wszelkich warunków bytu, a jednak bytu głośno się domagają, bo żyją, naszem zdaniem, nieświadomie z krzyczącej potrzeby pielęgnowania społeczności chrześcijańskiej. Mówimy tu o związkach, jakie n. p. są w Trzanowicach, w Dziegielowie, w Śmiłowicach, w Koń-

skiej. Te związki stawiają się w niejake przeciwieństwo do innych związków politycznych, narodowych, do związków oświaty, młodzieży n. p. w Bystrzycy, Nawsiu, Ustroniu, Wiśle, Goleszowie z tego powodu, że te inną idą drogą, drogą więcej świecką. To przeciwieństwo naszym zdaniem pochodzi z braku znajomości siebie i innych. Te drugie związki mają na celu oświatę, zabawę i t. p. i wcale nie myślą udawać, że budzić i krzewić chcą tylko pobożność. Związki wstrzemięźliwości, jak je, choć niezupełnie słusznie, nazywamy — bo nazywaćby je, jak dotąd, należało związkami domowych nabożeństw lub podobnie — nie są sobie świadome swojej właściwości ani swojego celu. Dlatego też ich dzisiejszy sposób pracy nie jest odpowiedni. Myśl wstrzemięźliwości stała się tylko pobudką do ponownego ich wypłynięcia na powierzchnię; ale co ich przy życiu utrzymuje, to jest pragnienie ściślejszej, czystej społeczności w duchu Chrystusowym.*) Więc też w tej formie i pod dzisiejszą nazwą żyć im będzie ciężko. Cała ich praca dzisiejsza jest niczem innym, tylko wierną odbitką nabożeństwa kościelnego. Zaraz po nabożeństwie kościelnem odbywa się drugie nabożeństwo,

*) Przez to nie chcemy powiedzieć, że właściwe towarzystwa wstrzemięźliwości nie są dobre i nie są nam potrzebne. Owszem z całym możliwym naciskiem podnieść pragniemy, że są dla nas konieczne; tylko, jeżeli mają co osiągnąć, musiałyby być ich kształt i ich praca inne niż dotąd. Jasnem nam też jest i to, że jeżeli związki wstrzemięźliwości w praktyce chcą mieć jakie społeczne znaczenie i osiągnąć jakie skutki, to z całą upartością i z całym zaparciem się obstawać muszą przy zupełnem rugowaniu trunków w wszystkich stosunkach swojego życia. Wyjątek możnaby tu tylko dopuścić ze względów leczniczych, choć i tu nie można każdemu lekarzowi wierzyć. Jeżeli związki wstrzemięźliwości z całą świadomością rzeczy nie uprą się przy swoim, to dojdzie i dochodzi do tego, że związkowcy przy łada sposobności pić będą w najlepsze, tylko aby innym nie dać t. zw. zgorszenia. Ale czy prawda może być bez zgorszenia?

zwykle dla tych samych słuchaczy, tylko w innym lokalu. Słusznie w takim razie powstawa pytanie: Cóż to ma być? Jest to naprawienie nabożeństwa kościelnego, albo spolega to na zasadzie trochę katolickiej, że im więcej, tem lepiej — a nie im szczerzej, tem lepiej? Nadto widoczną jest przy tem wszystkiem troska, żeby na te nabożeństwa jak najwięcej sprowadzić ludzi. To zaś najbardziej się sprzeciwia właściwościom tej instytucji. Bo jeżeliśmy powyżej dobrze odgadnęli ducha tych zgromadzeń, że one żyją z potrzeby pielęgnowania onej ścisłej, prawdziwej społeczności chrześcijańskiej, to ich staraniem przeciwnie powinno być, żeby ich koło było raczej szczupłe, ale czyste, t. j., by wewnątrz nie wchodziło nic przymuszonego, niedobrowolnego. Zdarzało mi się osobiście często, że gdym miał być w takim związku, tylko ze względu na mnie, bym się nie zraził małą liczbą słuchaczy, sprowadzano ludzi, którzy też tylko szli ze względu na mnie, nie dla sprawy samej. Rozumie się, że temi uwagami nie chcę ganić uprzejmych zaproszeń i nie radzę owym związkom, by się otaczały jakąś tajemniczością. Chcę tylko odsunąć od nich wszystko, co zniweczyłoby musiało oną społeczność samą, uniemożliwić szczerą wspólną modlitwę, zwykłą towarzyską wymianę myśli, radość społeczności w Chrystusie, które to czynniki jedyną są racją bytu owych związków.*)

Tu przypomnieć też należy, że taka społeczność nie da się sztucznie zrobić i skleić. Ona musi powstać, że tak powiem, sama z siebie — i powstanie też, jeżeli są serca po temu. Powstanie często bez zamiaru, gdy dwaj lub kilku rozmawiają z sobą w drodze, lub zjeżdżają się u kogo. Pamiętać też trzeba, że tej społeczności nie trzeba się koniecznie spodziewać między obcymi, ale

*) Pora na liczne zgromadzenia jest wtedy, gdy takie kółko społeczności urządzi odczyt lub inne jakie publiczne zebranie.

najprzód między domownikami. Czy nie należy żądać, żeby mąż z żoną nie klęczeli obok siebie po pierwszy i ostatni raz przy ślubie tylko, ale i potem często jeszcze w wspólnej modlitwie w radościach i trudach życia?! Cóż naturalniejszego, jak żeby rodzice, puszczając syna z domu, ukłękli z nim w komorce do wspólnej modlitwy, żeby uczynili tak ojciec i matka, wróciwszy z dziecięciem od chrztu; żeby przyjaciel, odwiedzając chorego przyjaciela, nie pytał go tylko o zdrowie, ale serdecznie pomówił z nim także o nadziei wiary chrześcijańskiej?! Tylko, aby się to działo w duchu i prawdzie! O prawdę nam chodzi, nie o obłudę. Kto nie ma o czem mówić a ćwiczy się w słowach nabożnych, temu lepiej milczeć.

Tutaj słyszę pytanie: A cóż z tego, jeżeli się ich kilku zejdzie i wspólnie się radzą w sprawach duszy, modlą się i śpiewają? Odpowiadam: Z tego wyrasta radość społeczności chrześcijańskiej. Tóż przecie i ludzie, co idą do teatru, na koncert, na bal, nie więcej nie mają z tego, jeno zaspokojenie potrzeb ich sercu właściwych.

Co z tego? Jaka korzyść? Słudzy kościoła niczego tak dotkliwie nie odczuwają, jak otchłani, która pod względem duszpasterstwa jest między nimi a zborownikami, między kazaniami a życiem w zborze. Mamy ciągle to uczucie, że każąc, podobni jesteśmy do wodzów, którzy wciąż wydawają komendy, wciąż dowodzą — a niema za nimi wojsk, spełniających ich rozkazy. Co do zborowników żyjących w onych społecznościach, kaznodzieja miałby pewność, że u nich słowa nie stopnieją, jak na śniegu pisane, ale że je przemieniają w czyn i życie u siebie i u innych. Społeczności takie byłyby solą w zborach. Nasze zbory potrzebują odnowienia krwi. Kwestya, jak ożywić nasze nabożeństwa, nasze zbory, połączona jest po wielkiej części z kwestyą o potrzebie pielęgnowania chrześcijańskiej społeczności. Gdyby takie

drobne społeczności powstały w łonie zborów, zajęłyby się wszystkim, czem się nie mogą zająć inne instytucje zborowe, a czego wymaga życie nowoczesne: Bibliotekami, rozpowszechnianiem pism, zbieraniem składek, odwiedzaniem chorych, walką z pijaństwem, napominaniem sług. Członkowie tych społeczności mogliby w niedzielne popołudnia, w wieczory zimowe urządzać w rodzaju dawnych przadek dla szerszych kół odczyty, wspólne czytanie biblij i innych powieści, dzieł i ksiąg. Możliwy takich ludzi skupiać i zorganizować z nich misję wewnętrzną. Ofiarność niektórych tych ludzi jest prawie niewyczerpana. Są to siły i dary duchowne, którym trzeba powiedzieć: Jesteście siłą, więc bądźcie siłą! Trzeba nam do pracy użyć, co się da. Bóg daje kościołowi swemu wszystkie potrzebne siły i dary. One nam patrzą w oczy i na ręce i proszą: Nauczcie nas być pożytecznymi dla królestwa Bożego.

Urzędowi kaznodziejek nie trzeba się obawiać tych świeckich czynników, jakoby one mogły zachwiać ich powagą i wpływem. One staną się owszem pociechą dla księży, trzeba je sobie tylko z wszelką cierpliwością i bezstronnością wychować. Kto ich nie zrozumie, kto je odepchnie, ten szkodę wyrządza sobie a niemniej zborowi. Powszechnem jest n. p. w zborach naszych przekonanie, że ksiądz tylko sobie tak żyje swobodnie i bez poważnej pracy. Doświadczenie zrobione gdzieindziej i u nas uczy, że współpracownicy owi, o których mowa, nabywają właściwszego zrozumienia trudów duszpasterskich, usprawiedliwiają i bronią pastorów w niejednym, w czem od innych bezwzględnie bywają posądzani. Pastor z swojej strony też nie będzie takim kołom swojej woli małodusznie w wszystkim narzucał, ale się zadowoli być ich najlepszym doradcą, do którego oni zawsze po wskazówki śpieszą.

Zaznaczyćby nam nareszcie jeszcze wypadało, jak z tego stanowiska ściśle chrześcijańskich społeczności sądzić o towarzystwach i zabawach świeckich z jednej, a o innych poważnych pracach społecznych z drugiej strony. Pod tym względem niejednośmy już wyżej poruszyli, niejedno też skąd inąd dawniej zostało wyświetlone. Zalaatwimy się więc króciuchno.

Co do zabaw świeckich, to z naszego stanowiska rozumie się samo przez się, że przyzwoitym zabawom jako takim w zasadzie nic nie zarzucamy. „Wszystko mi wolno,” powiada apostoł — „i wszystko jest wasze!” Znaczenia tych słów ukrócić nie chcemy. W praktyce jednak musi druga połowa słów apostoelskich: „Ale nie wszystko pożytecznie! Ale wyście Chrystusowi!” — być wziętą pod dobrą sumienną rozwagę. Szkoda, że tak rzadko, szczególnie po pospolitych karczmach bawią się przyzwyczajeni, a często nawet poważni ludzie, zapominając się, gorszą słabsze sumienia. W praktyce niestety rzeczy tak wyglądają, że trzeba być przeciwko nim, a nie za nimi. Trzeba nieraz według słowa Chrystusowego oko gorszące i rękę gorszącą raczej wylupić i odciąć, aby nie gorszyły; lepiej pozostać bez zabawy, niż pójść na zabawę, która jest głupią tylko rozpustą. Na żaden sposób zaś zabawy świeckie nie mogą ściślejszej społeczności chrześcijańskiej uczynić zbyteczną.

Za to, co do towarzystw i prac narodowo-społecznych utrzymujemy, że każdy chrześcijanin ma święty obowiązek współdziałania z nimi. Narodowość dla nas nie jest niepotrzebnym wybrykiem albo uciechą heca, jak wiele ludzi nawet dobrej woli, ale nieświadomych, myśli. Ks. Wichern — ojciec misji wewnętrznej w Niemczech — powiedział: „Narodowemu życiu dał Bóg wielkie obietnice, które teraz jeszcze po części zakryte są oczom naszym, i dopiero w doskonałym królestwie niebieskim oglądać

je będziemy." Tę samą myśl wyczytać możemy w Objaw. św. Jana (rozdz. 21., w. 26.), gdzie stoi napisane, że do Jeruzalemu górnego „Baranek wniesie cześć i chwałę narodów". Kto swej narodowości nie pielęgnuje, ten niechcąc rozumieć tej obietnicy, pogardza nią. Zamknięcie do tego, co obce, i ducha obcej narodowości przyswoić sobie można jedynie z pokrzywdzeniem i poszkodowaniem swoich właściwości narodowych. Kto tak czyni, ten z siebie zrzuca, w co go sam Bóg oblekł, a przyodziewa, co on chce. Takie postępowanie mądrość Boża zawsze karała. Jest to naszym społecznym grzechem, że raczej czytamy o całym świecie, niż o naszej własnej doli; karmić się lubimy obcemi przysmaczkami i pigułkami a nie staramy się o swój własny, choćby ciężki i czarny chleb. Życie w społecznościach, o jakich mówiliśmy, nie może być zdrowe, jeżeli nie będzie swojskie. Luter powiedział, że język, mowa — to dusza ludu. Jakożbyśmy o duszę naszego ludu mogli mieć prawdziwe staranie, jeżeli jego językiem poniewieramy. Dlatego świadomi chrześcijanie będą brali udział w życiu narodowym. Ta praca narodowo-społeczna będzie dla nich oraz bardzo potrzebną i zdrową równowagą przeciwko wygórowanej, jednostronnej duchowości i ustrzeże ich, by się miasto pożytecznymi chrześcijanami nie stali dziwaczными świętymi. Wymijając próżnym waśniom, będą sprawowali pożyteczną pracę, będą pracowali kielnią. „Was fruchtbar ist, allein ist wahr!" — powiada Göthe: To tylko jest prawdziwe, co przynosi owoce. Owoce są próbą wszystkich idei i programów. Owoce są najbolesniejszą klęską dla przeciwnika. Owoce, to kielnia i oręż.

Kończę. Gdyby Chrystus Pan powiedział dziś do młodego teologa: „Wyproś sobie łaskę odemnie!" — to, gdybym był w takim położeniu, powiedziałbym: Panie! mnie nic! Ale kościołowi u nas odbierz ten spokój,

który ma, a nawiedź go onym zbawiennym niepokojem, którego nie zna.*)

W muzeach są wytkane ptaki. W szafach za szklern siedzą w najlepszym porządku, każdy na swoim numerze, cicho i w wzorowej zgodzie. Mają pióra, pazury i dzioby i patrzą oczyma, a gdyby kto do nich mówił, zdałoby się, że słuchają z największem zajęciem. Jednak są martwe. — Pójdźmy raniuzko do lasu: Co tu śpiewu i ruchu! Każdy ptak ma swoją melodyą, jeden po gałęziach skacze, inny po pniu łązi, inny na ziemi grzebie, jeszcze inny na wierzchołkach drzew się kołysa. Lasem idzie sługa z owego muzeum, patrzy na to i głową poważnie kręci: „Niech Bóg broni! To sobie chwałę swój wytkany zbiór! Te cicho siedzą, milczą i spokojnie sobie co tydzień dadzą pył z piór zetrzeć!”

Gdy będziemy takimi ptakami w lesie, będziemy żyli życiem i prawdą! Potem inni, patrząc na ten nasz ruch i śpiew w złotem świetle słońca, pytać będą: „Cóż to za światło nad tym ludem weszło, coż to za życie oładnęło nimi?” I odpowiedzą im: „To jest wiara ewangelicka! To jest „świętych obcowanie!”

*) Nie każdy bowiem niepokój jest od złego, a nie każdy pokój jest z Ducha św., jest pokój grobowy, pusty, a jest też niepokój życia i świętej walki.

